

Kronika tygodniowa.

Święty Marcin widocznie w samą porę przyjechał do nas na swym siwym koniu. Zima zaczęła całkiem na dobre swe panowanie, od kilku dni mamy mrozy, zwiększające się z dnia na dzień, śniegu przecież jest mało, wobec czego nasi saneczkarze obojga rodzajów mają dość kwaśne miny, nie przymerzając, jak panowie adwokaci, gdy się dowiedzieli, że moratorium dla Galicji przedłużone będzie do kwietnia.

Choć właściwie źle powiedziałem, kto bowiem spacerował po plantach krakowskich w okolicy tyłów gmachu sądowego u św. Piotra, musiał bardzo uważać, by zjeżdżający z górki saneczkarz nie wpadł na niego całą siłą pary. Była to jednak, że się tak wyrażę, druga sorta sportsmenów, którzy na przykład przyjemności w ślizganiu się doświadczają na rynsztokach i obchodzą się z zasady bez łyżw.

Sanny także jeszcze niema, jest natomiast gołedź, gdyż stróże kamieniczni nie spieszą się wcale z uprzątnięciem lodu i śniegu z chodników, twierdząc, może i słusznie, że zły przykład daje im zarząd Zakładu czyszczenia miasta. Ten jednak jest o tyle wytłumaczony, iż brak ludzi i zaprzęgów daje mu się we znaki.

Rozmawiałem z jednym z cerberów kamienicznych, bo to już moja pasja urządzać wywiady i dowiedziałem się od niego, że, po pierwsze, nie ma siły do pracy (tak zwanej „pary“), gdyż dostaje zbyt mało chleba, po drugie zaś, poco to zbierać śnieg, skoro nowy jutro spadnie... Jest to tylko niepotrzebna strata czasu i marnowanie własnych sił żywotnych, które mogą przydać się gdzieś indziej.

Co jednak najważniejsze, że zimno nam dokucza, a tu brak węgla i porządnego okrycia cielesnej powłoki. Nie każdego stać na to, by jak pierwszy lepszy kamienicznik chadzał po mieście wystrojony w paradne jesiotry i barankową czapę. Ja tam mam tylko palto i to bardzo misternie wiatrem podszyte i być może dlatego nie grzejące, iż jeszcze nie zapłacone, na wszelki wypadek przecież noszę ze sobą wotowany parasol i otwieram go, ile razy zrobi mi się zimno.

Brak węgla też mnie zbytnio nie przeraża. Radzę sobie, jak mogę i palę w piecu moimi utworami. Przekonałem się przy tej sposobności, iż najwięcej kalorii wytwarzają poezje (a mam ich spory zapas z młodszych lat, gdy smalił cholewki do Weronisi i w rymach opisywał jej zalety i cnoty), potem wszelakiego rodzaju utwory nastrojowe, z politycznych natomiast artykułów jest sporo dymu, a ciepła mało. Zupełnie, jakbyś palił słomę i chciał się przy tym ogniu zagrzać.

Tyle, zdaje mi się, powinno wystarczyć o przyjemnościach tegorocznej zimy, która ma podobno trwać bardzo długo i być bardzo ostrą, będziemy więc nieraz jeszcze mieli sposobność powrócić do tego tematu, zwłaszcza iż znajomi namawiają mnie, bym spróbował, jak to smakuje jazda na saneczkach.

Jeśli to się stanie rzeczywiście, mam już obiecaną tytułową rycinę w „Nowościach Ilustrowanych“, przedstawiającą kronikarza, zjeżdżającego na złamanie karku na saneczkach ze Sikornika. Przedtem ubezpieczę się przecież, by Weronisia miała czem otrzeć łzy po mej stracie, bowiem, wedle słów Pisma św. „nikt z nas nie wie ani dnia, ani godziny“.

Z ubiegłego tygodnia mam do zanotowania tradycyjne lanie, jakie każdy Krakowianin urządza w przeddzień uroczystości świętego Andrzeja. Jest to, co prawda, babska rzecz, rok rocznie przecież jestem przy tem obecnym i wierzę silnie, że się to, co się ułało, albo spełni, albo nie...

Bo chyba każdy, kto brał w tem udział, wie, ile to w domu frajdy, gdy roztopiony ów lub wosk wyleje się na miskę z wodą i potem bała pod światło, co też może przedstawiać. Zna twierdzi, że to stanowczo nowy żakiet z baranków krymskich, który jej obiecałeś, córki utrzymują, że to przystojny młody facet, mający zamiary matrymonialne i to poważne, pan domu rozstrzyga w ostatniej instancji, o ile go baby naturalnie dopuszczają do głosu, że to najzwyczajniejsza figa i nigdy się nie myli.

Po świętym Andrzeju idzie naturalnym porządkiem rzeczy święty Mikołaj. Czy jednak tego roku nas odwiedzi, nie wiem, ma bowiem, jak mi opowiadano, pewne trudności w otrzymaniu pozwolenia na przyjazd do Krakowa. Nie chcę się przymawiać Szanownym Czytelnikom, a zwłaszcza Czytelniczkom, nie miałbym przecież nic przeciw temu, gdyby tak w dniu tym o mnie nie zapomniali. Ja

mam tak miękkie serce, iż przyjmuję wszelakie prezenty. Tylko różgi proszę mi nie przysyłać. Takową otrzymuję z zasady od mej połowicy, a wiem, że i w tym roku kupiono już na ten cel nową miotłę.

Jeśli więc kto ma ochotę, niech spieszy z podarunkiem na dzień św. Mikołaja. Nie przyjmuję tylko obietnic, bo na tem sparzyłem się już i ja i wielu innych. A jak serce boli, gdy kto obiecał, a potem o obietnicy zapomniał, wie ten tylko, kto tego na sobie doświadczył. A ja mam czule serce!

Zdarzyło się niedawno, iż pewien pan, rozmawiając z drugim, który dotąd pędził żywot kawalerski, wyrwał się z takim powiedzeniem:

— Ej... Gdyby tak pan ożenił się kiedy, przysłał na wesele pięć indyków!

Chłopisko, jako że indyki lubi, tyknął na razie tylko ślinkę, podrapał się w głowę i zaczął kalkulować, opłaci się, czy nie. Bo dziś bez kalkulacji nic się nie robi!

I przyszedł do przekonania, że jednego indyka zje się w czasie wesela, cztery zaś zostaną na roz poczęcie gospodarstwa, a indyk, to dziś kapitał... Wobec tego, nie namyślając się długo, ugął kark w jarzmo małżeńskie, czekał przecież na obecną indyki napróżno. Nie przyleciały.

Nowożeńiec spotyka po kilku dniach owego jegomościa i pyta:

— Pani! A gdzie moje indyki?... Bo ja się już ożeniłem...

— Bardzo ładnie! Gratuluję! Indyki jeszcze chude, wystydziłyby się takie posyłać... Ale na srebrne wesele nie zapomnę przysłać... Tymczasem się podpasą!

Cóż było robić?... Trzeba się było zadowolić drugą obietnicą, choć, gdyby to na mnie padło, zaraz na drugi dzień podałbym był o rozwód!

Niechaj więc nikt nigdy nie obiecuje, czego dotrzymać nie myśli, bo to może mieć czasem straszne, wprost nieobliczalne następstwa.

Proszę sobie tylko wyobrazić położenie biednego małżonka, którego żona co najmniej trzy razy dziennie pyta:

— A gdzie indyki?

— Pasą się! — odpowiada stereotypowo, a gdy mu się to już sprzykrzy, jeśli jest do tego wrażliwym, idzie po prostu nad Wisłę i rzuca się w jej srebrne fale.

A kto winę ponosi?... Nikt inny, tylko ów pan, który indyki obiecał, a potem sianem się z obietnicy wykręcił.

Choć ja, gdyby to tak na mnie padło, nie ożeniłbym się, niechby mi kto obiecywał nie pięć, ale tuzin i to nie indyków, ale krokodyli!

Podobno właściciel obietnicy żąda teraz od właściciela indyków notaryalnego zapewnienia, że doczeka srebrnego wesela, a prawnicy łamią sobie głowy, czy i jak się to da ustawowo załatwić.

Z kolei rzeczy żalosne wspomnienie poświęcić muszę s. p. kanapkom, które, na mocy rozporządzenia magistratu, zniknęły z horyzontu, a raczej bufetu.

Spyta kto może, co to za kanapka? Odpowiem mu na to, że jest to coś, a właściwie nic. Coś, bo dużo kosztuje, a nic, bo niewiele warte. Kawalek chleba, często gęsto nawet masłem nie posmarowanego, na tem okrawek szynki, ogonek ze sardynki i skórka ze sera lub coś podobnego. I za to płacisz od trzydziestu halerzy w górę, nie mówiąc już o tak zwanych kanapkach specjalnych, które od zwykłych różnią się tylko ceną.

Ludziska łykali je z apetytem, kupiec się cieszył, gdyż pozbywał się wszelakich resztek, które musiałyby pójść na marne, aż tu magistrat woła: „Halt! Nie wolno! Dawaj kartę chlebową!“ Na kromce zaś siedmiedzięciogramowej zrobiona kanapka kosztowała z pięć koron.

O ile więc nie robi się ich na chlebie Simona, który wedle ustawy nie jest chlebem, tak, jak baranina mięsem, przejdą kanapki do historii i pojawią się chyba dopiero po wojnie.

Wróciły natomiast telefony, co jednych uradowało, drugich zaś napęliło smutkiem. Do tych ostatnich należą ci, którzy nie lubią, gdy im się przerywa pracę i odwołuje do telefonu, zwłaszcza, gdy on źle funkcjonuje. A do tych właśnie ja należę.

Cieszą się natomiast wielcy politycy, potrzebujący wiadomości z pierwszej ręki i do tego bardzo prędko.

Spotkałem onegdaj jednego z codziennych redaktorów. Kontent, jakby wygrał na loterii klasowej. Zaciekawiony, dopytuje się o powodów zadowolenia.

— Mamy już telefon! — odpowiada.

— I to pana tak cieszy?

— Naturalnie! Teraz będę się mógł swobodnie porozumiewać z moim korespondentem wojennym.

— To panowie macie połączenie wprost z główną kwaterą prasową?

— Skądże znowu!... On stale urzęduje w Esplanadzie, gdzie czytuje dzienniki berlińskie. Potem przenosi się na inny front, to jest do Bisanza, a kończy w odcinku u Hawelki. A pojmie pan łaskawy, że teraz zależy na pospiechu, z jakim wiadomości przychodzą z pola walki.

— To się samo przez się rozumie! Ale czy szanowny redaktor słyszał o nowym niebezpieczeństwie, które wam grozi?

— Niel Cóż takiego?... Gadać pan!

— Podobno mają zarekwirować wszystkie nożyczki na potrzeby armii!

— Boże!... To byłaby klęska!... Musiałbym zawiesić wydawnictwo...

I taka czarna melancholia rozsiadła się na jego obliczu, iż żal mi się go zrobiło, pocieszyłem go też, że to nie jest jeszcze absolutnie pewnem.

Odetchnął z ulgą i z apetytem tyknął „dziecinny“ kielich starej starki, bo teraz bardzo ciężkie czasy.

— A jak kochany redaktor — pytam dalej — zapatruje się na poruszoną przez pisma kwestię wyrobu tłuszczu z pomyj?

Zrobił minę seryo i odparł po chwili:

— To byłoby, proszę pana, podcięciem nóg naszej gospodarki. Bo to jest tak!... Ja to panu zaraz wytłumaczę... Jeśli pomyje będą używane do wyrobu tłuszczów, czyli, że się tak wyrażę, wyjąłwane, to czemu będziemy żywić nierogaczynę?... A to przecież, sam pan przyzna, kwestya dla nas pierwszorzędnego znaczenia!... Brak pomyj, to zguba dla świń, jeśli zaś nie będzie świń, to skąd się wezmą pomyje, z których ma się tłuszcz robić?... Z wegetarykańskich pomyj ani gramu tłuszczu nie uzyskasz! Ja się znam na tem, bo tą kwestyą zajmowałem się w swoim czasie i mam nawet gotową rozprawę w tej materii, nie mogę jednak znaleźć na nią nakładcy... A możeby tak pan kochany?

— O! To się po mnie nie pokaże! Od chwili, w której dowiedziałem się, że tłuszcz ma się robić z pomyj, żadnych tłuszczów nie używam, nie czytuję też odnoszących się do tej kwestyi rozpraw... Kto wie, czy jaki uczony nie wpadnie na pomysł, o czym zresztą czytałem w swoim czasie w „Podróżach Gulliwera“, by rozpocząć w Zakładzie Tallarda próby, czy też zawartość owych wonnych beczek nie dałaby się z powrotem zamienić na pokarmy. Byłby to tryumf nowoczesnej chemii, który sprowadziłby ogólny przewrót w całym życiu społecznym!

— Wie pan, że to świetna myśl! I że ja dotąd na nią nie wpadłem! To ciekawe!... Ja się tem jednak zajmę poważnie...

— Materiału nie braknie! Sam mogę służyć...

Chciałbym poruszyć jeszcze jedną kwestyę, to jest poświęcić kilka słów powrotowi naszych uchodźców z Chocenia, zdaje mi się przecież, choć nie jestem prorokiem, że pan metrampaż się sprzeciwi i poradzi, by to zostawić do przyszłego numeru, gdyż miejsca brak.

I ja jestem tego samego zdania, wobec czego odraczam sprawę na cały tydzień. Jeśli nie zapomnę, następną kronikę rozpocznę od opisu, jak czule witali krakowscy kamienicznicy powracających nad Wisłę uchodźców-lokatorów.

Ale „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi“, miejsca jest troszkę, zamało jednak, bym mógł sprawę należycie omówić, więc, choć pan metrampaż wyjątkowo jest innego zdania i powiada: „Pisać!“, ja przecież postawię na swoim i poproszę Szan. Czytelników o łaskawą cierpliwość do następnego czwartku.

Nikt na tem nic nie straci, a sprawa sama zyska, bo się „odleży“.

